

## 25 lat minęło...

Niech pan napisze, jak powstało AVT – taką zachętę usłyszałem na kolegium reakcyjnym EP. Moja pierwsza reakcja była rozsądna: – Nie. Przecież w innym miejscu dzieliłem się już wspomnieniami z początków „Elektroniki Praktycznej” (<https://ep.com.pl/20latminelo>). A jednak po jakimś czasie zmieniłem zdanie.

Nie dlatego, by historia powstania AVT była szczególnie porywająca, ale czasy były wyjątkowe i mój punkt obserwacyjny był dość szczególny. Pomyślałem więc sobie, że wspomnienie początków AVT, naszkicowanych na szerszym tle przełomowych wydarzeń historycznych, ma pewien walor uniwersalnego świadectwa tamtego czasu i może zainteresować młodych czytelników. A było to tak.

Po kilku latach letargu wywołanego stanem wojennym, jeszcze w końcówce „komuny” zaczął się ferment w przedsięwzięciach głowach Polaków. Słynna ustawa Wilczka z grudnia 1988 r., otwierająca szerokie możliwości dla działalności gospodarczej, a także oczywiste oznaki rozkładu ustroju i państwa, stworzyły atmosferę wolnoamerykanki w życiu społeczno-gospodarczym. Byłem wówczas dyrektorem Instytutu Technologii Materiałów Elektronicznych i w ciągu 2 lat (1989, 1990) utraciłem prawie połowę załogi. Szalała hiperinflacja (20÷40% miesięcznie), a środki finansowe przyznane raz w roku na badania nie były rewaloryzowane. Niemal codziennie, z ciężkim sercem wręczałem komuś wypowiedzenie. Byłem katem. Obrazy rozpacz niektórych zwalnianych przesładują mnie do dziś. Bywało też inaczej. Ci najenergiczniejsi, których nigdy bym nie zwolnił, wpadali do mojego gabinetu, by się pożegnać: „Dyrektorze, ja już przychodzę do Instytutu tylko po wypłatę, a to nieuczciwe, bo wie pan, że szwagrem kupiliśmy starą ciężarówkę i handlujemy, wie pan, bez przerwy do NRD i z powrotem, przez tydzień zarabiam tyle, co u pana za cały rok”.

Nie powiem. Też zacząłem rozmyślać o swoim planie na życie w nowej rzeczywistości ustrojowej. Walczyłem, jak umiałem o byt Instytutu, choć antyszambrowanie w gabinetach ministerialnych w poszukiwaniu finansowania mierziło mnie coraz bardziej. Zrobiłem bilans swoich aktywów. Byłem profesorem z 22-letnim

stażem akademickim. W nauce już niewiele mogłem dokonać, ale zdradzałem spory zapal do działań belferskich. Byłem autorem podstawowego podręcznika akademickiego „Przyrządy półprzewodnikowe i układy scalone”, a także wyzywałem się jako popularyzator i redaktor miesięcznika „Audio-Video”, którego byłem współzałożycielem (1984 r.) w zespole kierowanym przez nieodżałowanej pamięci doktora Jerzego Auerbacha. Jako redaktor działu Hobby, w którym publikowaliśmy projekty różnych urządzeń elektronicznych, otrzymywałem od czytelników prośby o pomoc w wykonaniu płytek drukowanych i w zakupie trudnych podzespołów. Oczywiście, rola redakcji kończyła się na opublikowaniu projektu. Zadałem sobie jednak pytanie: a może warto zorganizować dodatkowy serwis dla czytelników – kompletować dla nich zestawy elementów z płytką drukowaną? Tak zrodził się pomysł na firmę AVT jako biuro konstrukcyjne opracowujące projekty i dostarczające czytelnikom kity, tj. kompletne zestawy podzespołów do praktycznego wykonania opublikowanej konstrukcji.

Nasz pierwszy projekt – multimetr 3 ½ cyfry – natychmiast podbił rynek. Kompletny zestaw elementów z płytką drukowaną i obudową oferowaliśmy w cenie 5-krotnie niższej niż dostępne wówczas na rynku multimetry fabryczne. To był prawdziwy hit. Ten fantastyczny sukces wygenerował środki do opracowań kolejnych projektów, też doskonale przyjętych przez rynek. Stało się jasne, że nasz potencjał rozwojowy przekracza możliwości publikacyjne kilkustronicowej rubryki Hobby w magazynie „Audio-Video”. Potrzebowaliśmy 10 razy więcej miejsca dla naszych artykułów. Niezbędne było powołanie do życia nowego czasopisma. Stąd zrodziła się „Elektronika Praktyczna”, entuzjastycznie przyjęta przez wielotysięczny rzesze elektroników. Ekscytujące początki



Fotografia z lat 80.

**prof. Wiesław Marciniak**  
Dyrektor Wydawnictwa AVT



EP i sukcesywne narodziny naszych kolejnych czasopism przez pączkowanie EP opisałem w innym miejscu (<https://ep.com.pl/20latminelo>), więc tutaj zakończę już opowieść o AVT i oddam się pokusie skomentowania szerszego tła wydarzeń tamtych lat.

Mieliśmy wówczas silne poczucie wyjątkowej przydatności społecznej naszych działań. Górnolotnie można to nazwać poczuciem misji. Dzisiaj tę misję określilibyśmy jako działanie na rzecz ochrony i rozwoju kapitału ludzkiego. W kraju wszystko się waliło. Upadały fabryki. Elektronicy, fachowcy tracili pracę w swoim zawodzie. Publikacje w EP pozwalały im nie tracić kontaktu z elektroniką, rozwijać się i edukować. Na miejscu upadających fabryk powstawały i rozwijały się nowe firmy elektroniczne, start-upy w obecnej terminologii. Dla przywołania atmosfery i problemów, którymi żyliśmy w tamtych dniach, warto może przytoczyć kilka cytatów z mojego tekstu opublikowanego w EP, w czerwcu 1993 r.:

*Czy zginie polska elektronika? Nie. Nigdy.*

*Porzucona przez władze kraju, zdziesiątkowana, sięgnęła swego dna upadku i będzie się już tylko podnosić, dźwigać w górę. Ten sektor gospodarki ponosi największe ofiary transformacji ustrojowej, utracił najwięcej miejsc pracy – chyba ponad 50% ...*



*...elektronika jest najtrudniejszą intelektualnie dziedziną cywilizacji ludzkiej w końcu XX wieku. W tej dziedzinie, szczególnie w tej, odizolowany embargiem Wschód musiał przegrać, zaś ambitne plany władców państw Wschodu prowadziły do budowy zakładów niesprawnych, nieprzygotowanych do walki konkurencyjnej na wolnym rynku. Nowa władza z zapalem neofity „wyznania” wolnorynkowego oddała sterowanie przemysłem „niewidzialnej ręce rynku” i przestała się w ogóle interesować swoim przecież (państwowym) majątkiem. Oznaczało to, w istocie, wyrok śmierci na elektronikę polską. Bez głowy i troski właściciela działalność w tak skomplikowanej dziedzinie jak elektronika nie ma szans.*

*...Uznanie elektroniki jako dziedziny gospodarki niezbędnej w cywilizowanym świecie nie musi się przejawiać w przywilejach branżowych. Minimalnym przejawem tego uznania powinno być zainteresowanie restrukturyzacją zakładów elektronicznych. Obecnie każdy zakład jest odrębnym terenem ścierania się wpływów różnych sił, grup i grupiek, często uwikłanych w paranoidalne problemy prawno-własnościowe, walczących o różne interesy, tylko nie o interes właściciela – państwa. Mimo to, w wielu przypadkach zmiany idą we właściwym kierunku, ale odbywa*

*się to mozolnie i w złym stylu, zbyt dużym kosztem społecznym.*

*Dość biadolenia. Gorzej już być nie może. Elektronika w Polsce będzie się rozwijać, niezależnie od braku zainteresowania władz kraju tą dziedziną, bo mamy dziesiątki tysięcy elektroników z pasją i energią do działania. I choć co drugi z nas utracił pracę, nie odchodzimy do innych zawodów. Walczmy. Zakładajmy małe firmy. Mały business w elektronice rozwija się spontanicznie, aż kipi. Spróbuj. Też potrafisz.*

*„Elektronika Praktyczna” nie tylko rozgrzewała do czynu, ale uruchomiła też działania praktycznie wspierające aktywność bezrobotnych elektroników. Jeszcze w 1993 r. na łamach EP ruszył program Produkcja Rozproszona. Sprzedawaliśmy w hurtowych seriach, na zasadach non profit, pakiety podzespołów do montażu urządzeń według projektów publikowanych w EP, np. zegary elektroniczne, wzmacniacze antenowe, transkodery itp. Kilka tysięcy elektroników uruchomiło swój domowy biznes w ramach programu Produkcja Rozproszona. Jest jedną z moich największych w życiu satysfakcji zawodowych, że mogłem aktywnie przyczynić się do ratowania „substancji” kadrowej elektroniki – najważniejszej spuścizny po PRL.*

*Wracając jeszcze do przytoczonych wyżej cytatów z mojej publikacji przed*

*25 laty, nie mogę się powstrzymać od refleksji sformułowanej z obecnej perspektywy historycznej. Otóż ćwierć wieku temu, jak wielu rodaków – elektroników i nieelektroników, byłem zszokowany rozmiarami katastrofy naszego przemysłu. W PRL-u mieliśmy wielką Unitrę zrzeszającą ogromne fabryki (CEMI, CEMAT, OMIG, TELPOD, ELEMIS itd., itd.) z wielotysięcznymi zakładami. I to wszystko miałyby zginąć, szczerząc? Wówczas miałem wielki żal do rządzących, że dopuszczają do takiej zagłady polskiego przemysłu. Teraz myślę inaczej. Terapia szokowa była bolesna, ale niezbędna. Drakońskie paragrafy reformy Balcerowicza, przyjęte sprawnie przez Sejm kontraktowy, uratowały Polskę przed losem Ukrainy. Gdyby władza rzucała koła ratunkowe fabrykom, to zakłady kierowane wówczas przez dzielne samorządy nigdy nie zreformowałyby się i na pewno zatopiłyby kraj w marazmie. Wiem, co mówię. Byłem wśród nich. Na tonącym „Titanicu” zdarzył nam się cud wyjątkowej zgodności przerażonych sytuacji polityków, gotowych zaaplikować krajowi „szokową terapię” Balcerowicza. To był prawdziwy cud nad Wisłą, ewenement w historii naszego kraju, zaludnionego społeczeństwem tak przecież podatnym na działania nieracjonalne i autodestrukcyjne.*